

BEZ NAZWY

Nr 1 (15)
wrzesień 2009

BEZ NAZWY

**Zespół Szkół
Ogólnokształcących
im. Książąt Czartoryskich
w Jarosławiu**

III Liceum Ogólnokształcące



dzis w numerze

TO WARTO PRZECZYTAĆ- Edward Szcukura

„Mocą wspomnień” o spotkaniu z malarzem Leonardem Kusler

„XVII Festiwal Piętni Nauczyci Korzeni”

Nasze prace

Krytyka

Sopot TOPTRENDY FESTIWAL 2009

Dla innych i za innych-kolejnym Marz Kobc

Krótkie VADE MECUM NAUCZYCIELA- cz. II



Drodzy uczniowie!
Życzę Wam na roku szkolnego początek
w dzienniku samych szóstek i piątek.

W ławkach usiądźcie,
grzeczni zawsze bądźcie.

Uczcie się "w dechę",
aby z Was szkoła
miała pociechę.

Własnymi planami
i pomysłami z kadłą
pedagogiczną się dzielcie,
byście aktywnie wkraczali w to
przedsięwzięcie.

Ogłoszenie zupełnie bezpłatne

Bez Nazwy – zespół redakcyjny

Jesteśmy młodymi ludźmi, którzy piszą, bo chcą, a czasem muszą. Nie ma się co okłamywać – czasem nie ma natchnienia, brakuje czasu, bo za dużo nauki...

Aby pisać, trzeba mieć coś do powiedzenia. Jeśli masz – możesz do nas dołączyć. Pisania nie trzeba się bać, wszystkie błędy zostaną poprawione w toku korekty. Szukamy ludzi z pasją, nieobawiających się wyzwań i obowiązków. Jesteś taki? Przyjdź, czekamy właśnie na Ciebie! Zgłoś się do opiekunki koła redakcyjnego, aby uzyskać szczegółowe informacje. Dziennikarze także chętnie z Tobą porozmawiają. Pamiętaj: świat należy do odważnych ☺

Redakcja

To warto przeczytać

Edward Stachura

**„Ze mną można tylko w dali zniknąć
cicho...”**

Edward Jerzy Stachura urodził się 18 sierpnia 1937 w Charvieu we Francji, zmarł 24 lipca 1979 w Warszawie. Był poetą, piosenkarzem i... wędrowcem. Krótko należał do Orientacji Poetyckiej Hybrydy.

Był synem polskich emigrantów. Jego dzieciństwo upłynęło we Francji, jednak wraz z rodzicami wrócił do Polski w 1948 roku. Nauce francuskiego zawdzięczał swój styl pisania. Pierwsze poezje opublikował w numerze 5 dwutygodnika *Kontrasty*. Od 1957 roku studiował romanistykę na KUL, potem do 1965 roku na Uniwersytecie Warszawskim. Często podróżował. Był typem samotnika, pisał o sobie: *Ze mną można tylko pójść na wrzosowisko i zapomnieć wszystko...¹*.



W kwietniu 1979 roku próbował popełnić samobójstwo, rzucając się pod nadjeżdżający elektrowóz. Stracił wtedy cztery palce prawej dłoni. Po tym wypadku leczył się w szpitalu psychiatrycznym w Drewnicy z rozpoznaniem psychozy depresyjno-urojeniowej. Później, 24 lipca tego samego roku, w swoim domu przy ulicy Rębkowskiej w Warszawie popełnił samobójstwo, wcześniej zażywając także sporą ilość tabletek na uspokojenie.

Twórczość Stachury trudno zrozumieć, być może dlatego, że pomiędzy wykreowanym przez autora bohaterem a samym autorem stawia się znak równości. W tekstach dochodzi do głosu konflikt między potrzebą życia, natury człowieka, a poczuciem obcości w świecie narzucającym pewne ograniczenia. Stachura pisał wiele pięknych tekstów, jak *Z nim będziesz szczęśliwsza*, *Kim właściwie była ta piękna pani*, *Confiteor* czy choćby *Człowiek człowiekowi*, ale wśród tych tekstów wiele jest też takich, przy których czytaniu można dojść do wniosku, że poeta jest nie tyle znudzony, co rozczarowany życiem i chciałby po prostu odejść.

Umieram
za winy moje i niewinność moją
za brak, który czuję każdą cząstką ciała i każdą cząstką duszy,
za brak rozdzierający mnie na strzępy jak gazetę zapisaną hałaśliwymi nic nie mówiącymi słowami
za możliwość zjednoczenia się z Bezimiennym, z Pozasłownym, Nieznanym
za nowy dzień
za cudne manowce
za widoki nad widoki
za zjawę realną
(...)
za tajemnicę śmierci w lęku, w grozie i w pocie czoła
za zagubione oczywistości
za zagubione klucze rozumienia z malutką iskierką ufności, że jeżeli ziarno obumrze, to wyda owoc

¹ Fragment utworu *Z nim będziesz szczęśliwsza*.

za samotność umierania
bo trupem jest wszelkie ciało
bo ciężko, strasznie i nie do zniesienia
za możliwość przemienienia
za nieszczęście ludzi i moje własne, które dźwigam na sobie i w sobie
bo to wszystko wygląda, że snem jest tylko, koszmarem
bo to wszystko wygląda, że nieprawdą jest
bo to wszystko wygląda, że absurdem jest

Fragment wiersza E. Stachury pt. *List do pozostałych*

Karolina Kumka

Nasze prace

Na imię mam - nieważne. Nieistotne jest imię, nazwisko... Mam dwadzieścia jeden lat - to jest ważne - z czego ponad cztery wyrwane z życiorysu. Tak, mam dwadzieścia jeden lat i jestem kobietą po przejściach. I tak naprawdę nie mam nic. Garść dobrych wspomnień i cały wór złych i uraz do mężczyzn do końca życia. To mój cały dobytek. Zapomniałam jeszcze o życiowym doświadczeniu i cholernym strachu o siebie i najbliższe osoby.

Mam dwadzieścia jeden lat i ciało wyniszczone nerwami. Schudłam, choć nie chciałam... Czy sobie radzę? Nie wiem. Jeżeli radzeniem można nazwać uśmiech o poranku, choć powodów nie mam i, jeżeli radzeniem sobie można nazwać łyżę ulgi, to tak, radzę sobie. Nie jest mi żal, nie rozpamiętuję. W zasadzie to tak mało pamiętam. To jest tak, jakbyś śnił sen, lecz budzisz się nad ranem i pamiętasz tylko jego fragmenty, migawki jak z filmu, choć masz wrażenie, że ów sen trwał bardzo długo. Tak się czuję, jakbym obudziła się ze snu, tylko że to nie był sen. Rzeczywistość mi to boleśnie uświadamia. Ukazując, jak człowiek może być ślepy na wszystko, co robi i co się wokół niego dzieje.

Mam dwadzieścia jeden lat i skrzywdziłam tak wiele osób. Gdybym wierzyła, że istnieje Bóg, leżałabym teraz krzyżem przed ołtarzem i błagała o wybaczenie. Ale nie wierzę. Muszę radzić sobie sama. Spowiedź przed samą sobą nigdy mnie nie oczyści, bo nigdy nie dam sobie rozgrzeszenia. Piętno tego, co zrobiłam, jeszcze długo, jak nie na zawsze, pozostanie w mojej świadomości. Będzie wracać do mnie w wielu momentach mojego życia. Nie, nie użalam się nad sobą. Wiem, że na to zasłużyłam. Czy mi to wybaczą? Nie znam na to pytanie jasnej odpowiedzi. Ja sobie tego nigdy nie wybaczę. A inni?

Mam dwadzieścia jeden lat i koszmar pięciu ostatnich nie pozwala mi spokojnie spać. Chciałabym pamiętać tylko te dobre chwile, ale zanikły gdzieś w tych, które okupiłam morzem łez. Nie wiem, czy jest ktoś, kto wylał ich tyle, co ja. Czasem już mi ich brakowało. Czasem nie potrafiłam ich powstrzymać. Mam za sobą wiele przeplakanych nocy i jeszcze więcej dni. Wiem, co znaczy samotność, choć druga osoba leży przy tobie. Wiem, jak się czuje osoba niekochana, choć co dzień słyszy słowo: "kocham cię". Wiem, co znaczy ból i poniżenie. Wiem, jak silna może być ręka mężczyzny, gdy jego siła odnajduje upust na ciele kobiety. Znam strach o wszystko, a najbardziej o siebie. Tak, mam dwadzieścia jeden lat i byłam bita...

Jak to możliwe? Nie wiem, jak to nazwać. Moją głupotą albo ślepotą? Po prostu się poddałam. Choć zawsze przysięgałam sobie, że żaden mężczyzna nigdy nie podniesie na mnie ręki. Zaczęło się tak, jak w każdym normalnym związku. Miłość rozkwitała jak pąki wiosennych kwiatów. Sama nie wiem, w którym momencie się to skończyło. Nie pamiętam pierwszego uderzenia. Wiem, że bolało. Nie samo uderzenie, ale fakt, że zrobiła to osoba najważniejsza w moim życiu. Nigdy nie usłyszałam słowa "przepraszam". Było jeszcze wiele

takich razów. Za co? Nie wiem do tej pory. Ale czy mężczyzna bije kobietę za coś konkretnego? Nie wiem, co wtedy myślał. Może, że jest moim panem, władcą?

Mam dwadzieścia jeden lat i smutne oczy. Tak dawno nikt w nie nie patrzył z miłością. Znają tylko lzy i strach. Ale potrafią też idealnie udawać szczęście. Musiałam się tego nauczyć przez te wszystkie lata. Serce też się nauczyło myśleć, że kocha i że jest kochane. Grałam swoją rolę, do której sama wybrałam scenariusz. Zgodziłam się tak żyć. Przecież miałam wybór, każdy go ma. Zamiast słów miłości, słyszałam słowa pogardy. Zamiast czułych gestów, kolejne uderzenia. Oszukiwałam się sama przed sobą, że to minie, że następnych już nie będzie. Mówiłam sobie to zawsze, gdy wylizywałam kolejne rany na duszy, ale i te na ciele. Gdybym tak zrobiła bilans dobrych i złych dni, wyszłoby, że trzy czwarte z tych prawie pięciu lat przecierpiałam.

Mam dwadzieścia jeden lat i tak wiele w życiu przeoczyłam. Tak wiele dni mi umknęło, tyle zdarzeń i ludzi. Nie mam znajomych. Zabrał mi ich wszystkich swoją chorobliwą zazdrością. Jestem skazana na cztery ściany i własne towarzystwo. Tak mało w życiu zrobiłam tylko dla siebie. Oddałam się mu bez reszty, nie oczekując niczego w zamian. Dawałam, ale nigdy nie dostałam nic z powrotem. Człowiek z miłości może tak wiele poświęcić, nie zastanawiając się, czy postępuje właściwie. Jestem taka młoda, a nigdy nie skorzystałam z tego przywileju. Nie nacieszyłam się tym. Stałam się niczym żona, której obowiązkiem jest tylko siedzenie w domu i gotowanie dla męża-tyrana. Bycie jego niewolnicą na każde zawołanie. Nikt sobie nie wyobraża, jak bardzo można dać się poniżyć drugiemu człowiekowi. Nie zrozumie tego nikt, dlatego po co mam to komukolwiek opowiadać. Chcę, żeby moi bliscy na nowo mi zaufali i zobaczyli, że zmądrzałam.

Mam dwadzieścia jeden lat i jestem szczęśliwa, że jestem wolna i samotna. Buduję na nowo mój mały świat. Samej jest trudniej, ale wiem, że podołam. Wiem, że czasu cofnąć nie można, choć tak wiele bym teraz zmieniła. Jak się od tego uwolniłam? Chyba każdy człowiek ma taki swój punkt, po przekroczeniu którego po prostu mówi: dość. Moja cierpliwość osiągnęła ten pułap i serce w końcu się zbuntowało. Powiedziało: "Dość! Ja tak nie chcę". Ja też już nie chciałam. Odzyskałam zdrowy rozsądek zagubiony gdzieś przez te wszystkie lata. Szczyt wytrzymałości na ból i upokorzenia został osiągnięty. Wszystkie emocje we mnie opadły, byłam tak obojętna na to, co się dzieje, że sama się zastanawiałam, skąd we mnie ta siła. Tak, postawiłam się pierwszy raz w życiu. Patrzyłam z podniesioną głową, jak odchodzi, jak znika raz na zawsze z mojego życia. Od tamtej pory płakałam raz, ale już nie ze smutku. Płakałam ze szczęścia, że wreszcie się to skończyło. Nikt nie wie, jaką ulgę wtedy poczułam. Nikt też nie wie, co tak naprawdę się działo przez te lata. I tak ma pozostać...

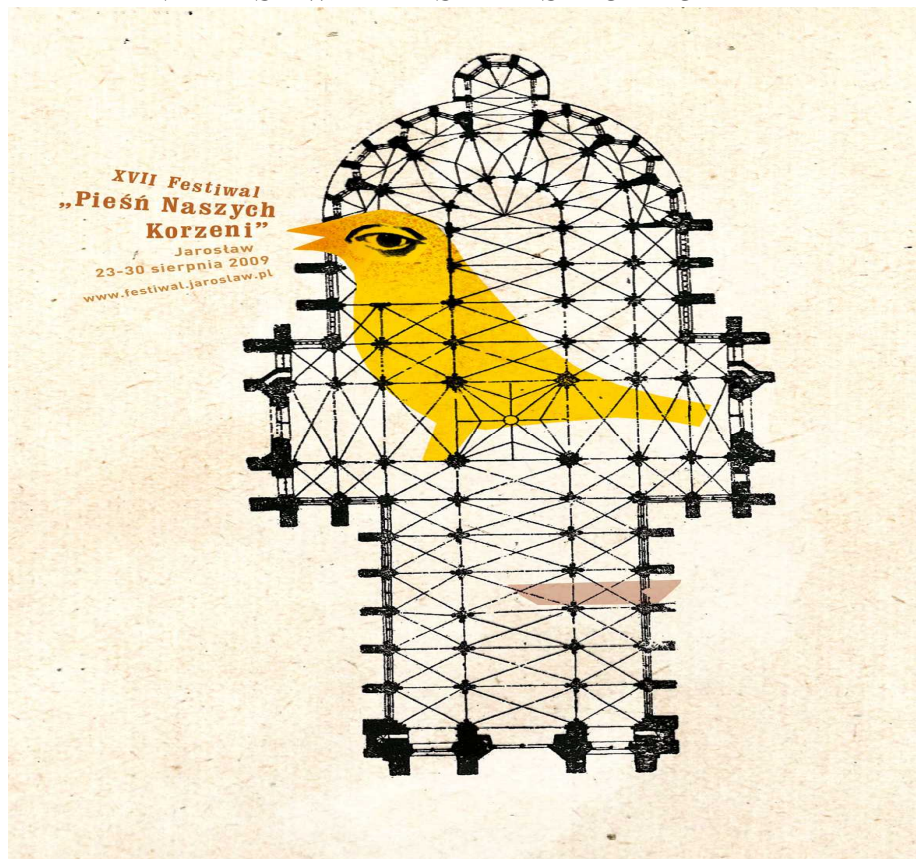
Mam dwadzieścia jeden lat i kocham życie. Chcę żyć szczęśliwie, być kiedyś kochaną. Czy szukam miłości? Nie, bo wiem, że to ona mnie odnajdzie. Kiedyś przyjdzie do mnie, zapuka do mojego serca i powie "już czas", a ja się jej poddam. Tylko, że zawsze pozostanie ta ostrożność. Ale teraz wiem, kiedy powinna zapalić się lampka bezpieczeństwa. W przeciwieństwie do innych kobiet znam schemat mężczyzny, który potrafi uderzyć... Spoglądając w przeszłość, już na początku powinnam była się zorientować, że to nie był człowiek tylko potwór... Mimo tego, kim się stał, pozostawił mi skarb – moją małą córeczkę. Choć nie mam u swego boku mężczyzny, z którym mogę dzielić życie, mam ją. Ona nadaje sens mojemu istnieniu.

Niech moja historia będzie dla Was przestrogą. Trzeba uważać, co się robi i nie wolno podejmować pochopnych decyzji. Moja mała Kalinka jest dla mnie całym życiem, ale trudno było mi się uporać w tym wszystkim...

Kinga Zalot

Okolice szkoły

XVII FESTIWAL PIEŚNI NASZYCH KORZENI



Tradycyjnie już od siedemnastu lat odbywa się w Jarosławiu „Festiwal Pieśni Naszych Korzeni”. Organizatorami tegorocznego festiwalu byli młodzi ludzie, najstarszy nie przekroczył 30 lat. Rozmawiam z zastępcą prezesa Stowarzyszenia „Muzyki Dawnej w Jarosławiu”

Agnieszka Krawczak: Siedemnasta edycja festiwalu... To już kawałek historii miasta. Skąd wzięła się idea takiego wydarzenia?

Piotr Wawrzekiewicz: W roku 1993 zawiązała się w Jarosławiu grupa młodzieży, która interesowała się muzyką ludową, dawną, śpiewem liturgicznym. Z pomocą nauczycieli i samorządowców założyli Stowarzyszenie „Muzyka Dawna w Jarosławiu”, które w 1993 roku zorganizowało pierwszy trzydniowy Jarmark Muzyki Dawnej. Całość odbyła się w Wielkiej Izbie w Rynku. Na jarmarku zapraszano wykonawców muzyki dawnej, którzy oprócz tego, że dawali koncert, to jeszcze spotykali się ze słuchaczami, rozmawiali z nimi, opowiadali o swojej muzyce. Od 1995 roku jarmark wydłużono do siedmiu dni, a od 1996 zmieniono nazwę na Festiwal Muzyki Dawnej „Pieśń Naszych Korzeni”.

AK: Czy festiwal skupia się na muzyce krajowej? Czy też wybiega poza granice Polski.

PW: Jak najbardziej, wybiega. Przez te 17 lat gościliśmy w Jarosławiu artystów z wielu krajów: Niemiec, Czech, Wielkiej Brytanii, Włoch, Hiszpanii, Rosji, Rumunii, Grecji.. Z bardziej „egzotycznych”, wystąpili u nas Zulusi z Afryki, artyści z Iranu, Mołdawii, a nawet Amerykanie, którzy także mają swoją tradycję śpiewaczą. Cudze chwalimy... ale znamy i swoje. Muzyka polska jest również żywa. Koncert Kapeli Brodów z Węgajt, którzy śpiewali polskie pieśni Maryjne w 2008 roku, pokazał, że pieśni, które w kościele śpiewamy dosyć niechętnie, tradycyjnie wykonane są nie tylko piękne, ale i warte tego, by je wykonywać.

AK: Czy stowarzyszenie samo zaprasza artystów?

PW: Sprawą programu zajmuję się Dyrektor Artystyczny Festiwalu. Obecnie jest nim Maciej Kaziński, badacz tradycji i muzyk, który zastąpił na tym stanowisku jednego z inicjatorów Festiwalu, Marcina Bornusa-Szczyckińskiego. On kontaktuje się z artystami, dobierając ich wedle myśli przewodniej danej edycji festiwalu.

Prowadzi też z nimi negocjacje, których efektem są niesamowite koncerty w jarosławskich świątyniach. Stowarzyszenie zaprasza za to artystów na koncerty w ciągu roku. Najczęściej są to zespoły zaprzyjaźnione z nami, których twórczość znamy i cenimy.

AK: Jak wygląda sam festiwal? Mnóstwo mieszkańców Jarosławia nie wie, że to nie tylko koncerty.

PW: Plan dnia festiwalowego jest bardzo napięty i zostawia niewiele miejsca na nudę. Dzień zaczyna się gregoriańską jutrznią w Opactwie. Uczestnicy biorą tam czynny udział w śpiewie chorału gregoriańskiego, rzecz jasna po łacinie. Później śniadanie i początek pracy. Ok. 10.30 odbywają się prowadzone przez Dominikanów zajęcia ze wspomnianego wyżej chorału. Uczą śpiewów wykonywanych następnego dnia. W samo południe odbywają się seminaria z artystami, którzy wystąpili dnia poprzedniego. Jest to niepowtarzalna okazja do rozmowy o ich muzyce, pasjach, instrumentach, bo artyści chętnie odpowiadają na pytania. A i zagrać potrafią ku uciechu słuchaczy... Po seminarium obiad i warsztaty chóru festiwalowego, które trwają do wieczora, z przerwą na gregoriańskie nieszpory. Chór, przygotowujący się pod okiem najlepszych artystów, tradycyjnie występuje u ich boku na zakończenie festiwalu. Po warsztatach szybka kolacja i najważniejszy punkt dnia: koncert. A po nim biesiada do białego rana... Chwila snu... Jutrznia... I tak dalej.

AK: Co jest takiego niesamowitego w tych koncertach, że przyciągają ludzi z całej Europy?

PW: Koncerty przeżywa się niesamowicie głęboko. Wyobraźmy sobie kościół pełen ludzi, siedzących gdzie się da, oświetlony jedynie światłem świec. W prezbiterium jedna lampka nad nutami. Wychodzi artysta – gwiazda wieczoru – witany gromem braw... I nagle zapada cisza. Wszyscy w skupieniu czekają na występ. A on zaczyna śpiewać, grać, recytować... Dźwięki bez żadnego nagłośnienia płyną nad skupionymi słuchaczami. A gdy dotrze do świadomości fakt: „Ta melodia ma 300, 500, 1000 lat”... Wtedy naprawdę rozumie się nazwę „Pieśń Naszych Korzeni”.

AK: A skąd ci artyści znają takie utwory?

PW: Spędzają lata nad studiami dawnych tekstów, manuskryptów, traktatów. Rekonstruują instrumenty z rycin i obrazów, badają tradycję... Efektem ich pracy są całe programy koncertowe, które wydają w postaci płyt. To jedni. Inni artyści to tacy, którzy nie nazywają siebie artystami. Są to ludzie, którzy robią coś z dziada-pradziada – reprezentanci żywej, nigdy nieprzerwanej tradycji. Na przykład w 2005 roku gościliśmy Bractwo Śpiewacze z Andavias, które wykonało stałe elementy mszy w niecodzienny i rzadki sposób, który przetrwał tylko w ich okolicy. Tacy ludzie nie tylko występują rzadko. Oni w ogóle nie występują dla publiczności. Przyjeżdżają na specjalne zaproszenie i zawsze prezentują coś niesamowitego i tak tradycyjnego, że aż przykrytego kurzem (śmiech).

AK: Czy w tym roku odbył się koncert specjalnie przygotowany i rekonstruowany z dawnych dokumentów?

PW: Tak, i to niejeden. Warto powiedzieć o choćby o grupie Sequentia, która przedstawiła nam poezję apokaliptyczną sprzed tysiąca lat, czy Cantilena Antiqua, wykonującej poezję z czasów Karola Wielkiego. Co ciekawe, teksty były w językach martwych: łacinie, od dawna nie używanych odmianach angielskiego i niemieckiego, grece. Przygotowania do ich przedstawienia nierzadko trwały całe lata i wymagały od muzyków nie tylko znajomości gry na instrumentach dawnych, ale i świetnej pamięci do nauki języków, których nikt nie rozumie (śmiech).

AK: Czym właściwie zajmuje się stowarzyszenie?

PW: W ciągu roku – organizacją festiwalu. Ale nie tylko. Audycje szkolne i serie warsztatów to niektóre z inicjatyw, które podejmujemy w ciągu roku. Ponadto zajmujemy się badaniem i podtrzymywaniem tradycji. Spotykając się z ludźmi, którzy znają dawne śpiewy, uczymy się od nich, by nie umarły wraz z nimi. Olbrzymia część kultury ludowej, tekstów, melodii, obyczajów umarła, bo nie została przekazana potomnym. Zajmujemy się też śpiewami liturgicznymi, konkretnie chorałem gregoriańskim, dążąc do tego, by wrócić do śpiewów łacińskich w kościele.

AK: Czy na następnym festiwalu szykujecie coś specjalnego?

PW: To będzie osiemnasta edycja. Festiwal będzie pełnoletni (śmiech). Myślę, że Dyrektor Artystyczny pomyśli o specjalnym programie, w którym oprócz koncertów i liturgii pojawi się też jakiś festiwalowy prezent osiemnastkowy dla uczestników i mieszkańców miasta. Może dodatkowy koncert w formie widowiska... Zobaczymy. Pewne jest za to, że festiwal zakorzenił się na dobre w Jarosławiu.

AK: Dziękuję za rozmowę

**Z Piotrem Wawrzkiwiczem,
zastępcą prezesa Stowarzyszenia „Muzyka Dawna w Jarosławiu”
rozmawiała Agnieszka Krawczak.**

Wakacyjnych wspomnień czar...

Mocą wspomnień...

19 czerwca o godzinie 17:00 w Miejskim Ośrodku Kultury w Jarosławiu odbyło się spotkanie z malarką Leonardą Kielar, żoną Wiesława Kielara, jednego z pierwszych więźniów Oświęcimia i, co ciekawe, Jarosławianina.

Wiesław Kielar stał się znany dzięki książce *Anus Mundi*, która została napisana w 1972 roku. To taki swoisty obozowy „pamiętnik” opisujący rzeczywistość więźniów Oświęcimia. Oprócz tej książki pojawiły się też inne pozycje: *Nasze młode lata*, ukazujące życie Jarosławia w latach 30., oraz *Życie toczy się dalej*, w której Wiesław Kielar zawarł swoje powojenne losy. Więzień, który przeżył okrutne obozowe warunki, pisał aż do śmierci, 30 czerwca 1990 r.



Pani Lena opowiadała o osobowości swojego męża, o wspólnych podróżach i o skutkach, jakie pozostawiło na Wiesławie życie w obozie. Nie zabrakło też anegdot z ich pierwszych wspólnych spotkań.

Moi rodzice zdecydowali się gościć u nas panią Leonardę wraz z jej przyjacielem, który pomaga jej załatwiać rozmaite sprawy z wydawcami książek Kielara, także tymi zagranicznymi (warto wiedzieć, że książka *Anus Mundi* w Niemczech przez wiele lat była lekturą). Ja na ten czas przeniosłam się do mojej babci, gdyż mama obawiała się zamieszania. Cóż mogę rzec... Żałuję, że mnie wtedy w domu nie było, bo pani Lena to interesująca kobieta, która jeszcze wiele o swoim zmarłym mężu może przekazać, a pan Ryszard to ciekawy mężczyzna, obdarzony dużym poczuciem humoru i ogromną charyzmą.

Karolina Kumka

Naszym zdaniem



SOPOT TOPTRENDY FESTIWAL 2009

100-LECIE OPERY LEŚNEJ

W sobotę, 27 czerwca o godzinie 20:00 rozpoczęła się transmisja z festiwalu TOPtrendy w Operze Leśnej. Amfiteatr obchodził 100 lat swojego istnienia.

Podczas koncertu widzowie mieli szansę zobaczyć na scenie „gigantów” polskiej sceny muzycznej, m.in. Alicję Majewską, Irenę Jarocką, Halinę Kunicką z niezapomnianym przebojem *To były piękne dni*, Halinę Frąckowiak (*Napisz, proszę, chociaż krótki list*), Andrzeja Dąbrowskiego (*Do zakochania jeden krok*), Jerzego Połomskiego z piosenką, którą wszyscy znają z refrenu: *Bo z dziewczynami*, Wojciecha Gąsowskiego, Edytę Górniak, która brawurowo wykonała utwór Czesława Niemena *Dziwny jest ten świat*, Bohdana Łazukę, który wraz z Joanną Liszowską zaśpiewał *W siną dal*, Janusza Radka śpiewającego wielki przebój Demisa Russosa *Goodbye my love, Goodbye*. Halina Mlynkowa przypomniała przebój Haliny Vondrackowej *Malowany dzbanku*, Joanna Liszowska zaśpiewała niezapomnianą piosenkę Ałły Pugaczowej, *Wsio mogut koroli*, Stefano Terrazzino zaprezentował nieśmiertelną *Serenoe* i wreszcie Natasza Urbańska wykonała po rosyjsku *Zawsze niech będzie słońce*, czyli piosenkę, której tekstu nasi rodzice uczyli się na pamięć. Na koniec wystąpiła Irena Santor, obchodząca 50-lecie swojej pracy artystycznej.

Koncert przyciągnął moją uwagę, bo nie było występów artystów, którzy swoim dorobkiem artystycznym nie bardzo mogą się pochwalić, a ich utwory to tylko „masowa produkcja jednosezonowych hitów”. Był tylko jeden moment, kiedy można powiedzieć, że się wściekłam. Joanna Liszowska śpiewająca wraz z Bohdanem Łazuką *W siną dal* niezbyt porządnie się przygotowała: „zdarzyło” jej się zapominać partii piosenki. Porażka... Ale na szczęście taka „wpadka” miała miejsce tylko raz.

Dało się zauważyć, że tegoroczny Sopot odniósł się do wcześniejszego Opola. Pamiętacie opolski koncert, gdzie młodzi artyści występowali na scenie z tymi starszymi? To także było godne uwagi ze strony widzów, ale zabawne wydało się jedno połączenie: Jerzy Połomski zaśpiewał z Anną Wyszkonii piosenkę *Nie zapomnisz nigdy*. I co? Jerzy to artysta starszej daty, kiedy to kobiety na scenie występowały w znacznie dłuższych kreacjach niż spódniczka Ani... Heh ☺. Poza tym pan Połomski był bardzo zaniepokojony tym, czy aby Ania nie jest od niego wyższa. Cóż...



wielki artysta też może mieć kompleks niższości. Ale był bardzo zadowolony z tego, że dostał zaproszenie do występu w duecie, odpowiadała mu także sceniczna partnerka, kobieta niewątpliwie utalentowana.

Opera Leśna to położony w leśnej dolinie amfiteatr, znajdujący się na skraju Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego w kompleksie leśnym Lasów Oliwskich. Pod względem akustycznym jest jednym z najlepszych w Europie obiektów, jej uroczyste otwarcie miało miejsce 11 sierpnia 1909 roku, powierzchnia amfiteatru zajmuje 4 hektary. Obiekt posiada 4400 miejsc dla widzów, podzielonych na 12 sektorów, a sam kanał dla orkiestry może pomieścić 110 muzyków. Scena ma długość 50 m i powierzchnię 536 m². W pobliżu Opery Leśnej przebiega turystyczny szlak Wzgórz Szymbarskich.

Karolina Kumka



rys. Justyna Koniuszy

O ludziach



Maksymilian Maria Kolbe

Dla innych i za innych

Rajmund Kolbe urodził się 8 października 1894 roku w Zduńskiej Woli. Umarł otruty zastrzykiem fenolu w

Oświęcimiu 14 sierpnia 1941 roku. Ofiarował się w zamian za Franciszka Gajowniczką, aby ten mógł wrócić do żony i dzieci.

Rodzice Rajmunda, Juliusz i Marianna z Dąbrowskich, byli tkaczami. On sam został ochrzczony 18 stycznia 1894 roku w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Zduńskiej Woli. Trudna sytuacja finansowa rodziny sprawiła, że Kolbowie przenieśli się do Łodzi. Jednak tam także nie było lepiej. W 1897 roku Juliusz i Marianna podejmują kolejną decyzję – tym razem przeprowadzają się do Pabianic. Tam rodzice Rajmunda znaleźli pracę – ojciec pracował w fabryce, matka prowadziła sklep, potem była położną.

Kiedy chłopiec miał 12 lat, w kościele parafialnym w Pabianicach doznał objawienia. Zobaczył Matkę Bożą trzymającą dwie korony – białą i czerwoną. Dała mu Ona do zrozumienia, że biała to czystość, a czerwona męczeństwo. Rajmund wybrał obie.

W 1910 roku Rajmund poprosił o przyjęcie do nowicjatu. Chciał poświęcić się walce w obronie ojczyzny, ale kiedy matka i ojciec oznajmili, że pragną poświęcić się służbie Bogu, Rajmund odebrał to jako znak. W 1911 roku złożył śluby czasowe. Otrzymał wtedy imię Maksymilian. Rok później wysłano go na studia do Rzymu. Zrozumiał wtedy, że nie tylko Polska, ale i cały świat powinien należeć do Chrystusa. W 1917 roku przypadały dwie rocznice, które Maksymilianowi dały wiele do myślenia – 400-lecie wystąpienia Marcina Lutra i 200-lecie powstania masonerii. Wrogowie kościoła wykorzystali to jako pretekst do zmanifestowania swojej nienawiści. Ówczesny burmistrz Rzymu, Żyd, Ernest Natan ogłosił się wielkim mistrzem masońskim. Zarządził on obchody z czarnym sztandarem giordanobrunistów², na którym widniał znak Lucyfera depczącego św. Michała Archanioła. Podczas pochodu wołano: „Diabeł będzie rządził w Watykanie, a papież będzie jego sługą!“. Maksymilian patrzył na to z bólem. Drażniła go obojętność tłumu gapiów. Wypadki te natchnęły o. Maksymiliana do założenia bractwa, które skupiałoby tych wszystkich, którym sprawa królestwa Bożego na ziemi jest bliska.

W tym samym roku, 1917, gdy był jeszcze subdiakonem, założył wśród swoich kolegów Rycerstwo Niepokalanej. W 1927 roku założył pod Warszawą klasztor-wydawnictwo Niepokalanów. Niedługo po założeniu



² Giordanobruniści to zwolennicy dominikanina Giordano Bruno, który dogmaty religii katolickiej. W lutym 1596 został oskarżony o herezję (akt oskarżenia zawierał blisko 130 punktów) i ekskomunikowany przez inkwizycję rzymską. Zgodził się na publiczne odwołanie i potępienie swoich czynów, co miało się odbyć w 1593 roku w Rzymie. Jednak tam Giordano zmienił zdanie – nadal podtrzymywał to, co twierdził w swoich dziełach. Został skazany na spalenie na stosie za herezję. Wyrok zatwierdził sam papież Klemens VIII. Egzekucja odbyła się 17 lutego 1600 roku w Rzymie na placu Campo di Fiori. Postawiono tam pomnik poświęcony jego pamięci.

klasztoru o. Maksymilian za pozwoleniem przełożonych wsiadł na statek płynący na Daleki Wschód. Celem jego podróży okazało się miasto Nagasaki. Tam został przyjęty przez miejscowego biskupa i powiedział mu, iż chciałby wydawać swoje pismo także dla Japończyków. Nie miał pieniędzy i nie znał języka, ale ufał Opatrzności Bożej. Biskup dał ojcu mieszkanie i powierzył mu stanowisko wykładowcy filozofii w diecezjalnym seminarium. Ojciec Kolbe zaufał Opatrzności i opiece Niepokalanej i udało się – miesiąc po tej rozmowie ukazało się pierwsze japońskie wydanie *Rycerza Niepokalanej*. Trzy miesiące później polski misjonarz zakupił grunt pod budowę kolejnego klasztoru-wydawnictwa. Rok po przyjeździe do Japonii o. Maksymilian otworzył Niepokalanów japoński. Nazwano go Ogród Niepokalanej. Ten niebywały sukces był przypłacony ogromnymi ofiarami polskich misjonarzy. Bracia mieszkali w wynajętym budynku, znajdującym się w opłakanym stanie, bez żadnych wygód – nie mając nawet łóżek, spali na podłodze. Niedogodności związane z lokalizacją japońskiego Niepokalanowa położonego na zboczu góry (odludzie, teren porośnięty trzciną i bambusami, które trzeba było karczować) okazały się jednak pomyślne – kiedy w 1945 roku Amerykanie rzucili bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki, klasztor ocalał i nikt z jego mieszkańców nie zginął.

W czasie nieobecności o. Maksymiliana polski Niepokalanów przeżywał kryzys. Kolbe wrócił więc, by podeprzeć swój klasztor. I kiedy wszystko ponownie ruszyło, wybuchła wojna, a po niej nastąpiła noc okupacji. 19 września Niemcy przystąpili do likwidacji Niepokalanowa. Bracia wraz z o. Kolbe zostali aresztowani i przewiezieni do obozu Amlitz, gdzie przebywali między 24 września, a 8 listopada. Następnie wywieziono ich do Ostrzeszowa (od 9 listopada do 8 grudnia 1939 roku). W samą uroczystość Niepokalanej, właśnie 8 grudnia, nastąpiło zwolnienie z obozu.

17 grudnia 1941 roku Maksymiliana powtórnie aresztowano. Był przesłuchiwany i więziony na Pawiaku, następnie przewieziono go do obozu Auschwitz-Birkenau, gdzie otrzymał numer 16670.



Pod koniec lipca 1941 roku uciekł jeden z więźniów z bloku o. Kolbego. Wściekły komendant nakazał zwołać na plac cały blok i co dziesiątego wytypowanego przez siebie więźnia skazał na śmierć głodową w specjalnie na to przygotowanym bunkrze. Wśród przeznaczonych na śmierć znalazł się Franciszek Gajowniczek. Nieszczęśliwy westchnął, że musi opuścić żonę i dzieci. Wtedy stała się rzecz, która zdumiała katów. Z szeregu wyszedł o. Kolbe i prosił, by jego skazano na śmierć zamiast Gajowniczka, który stał obok niego. Na pytanie: kim jest? odparł, że jest kapłanem katolickim. Jest samotny, a Gajowniczek ma żonę i dzieci. Poszedł na śmierć wraz z 9 towarzyszami do

bloku śmierci, nr 11.

Świadkowie w następujący sposób opisują tę sytuację:

„Wybrano dziesięciu więźniów. Komendant wrócił na swoje miejsce przed blokiem, powiedział coś na temat odpowiedzialności zbiorowej za ucieczki i był już gotów odejść, gdy wydarzyło się coś, co nie miało jeszcze miejsca w całej historii obozu.

Jakiś więzień wystąpił nagle z naszych szeregów. Był w wieku około 50 lat, wychudły z głodu, w drewniakach, z twarzą oświeconą promieniującym uśmiechem. Silnym, głośnym i czystym głosem oświadczył:

– Chcę rozmawiać z komendantem!

Wszyscy byli zaszokowani. Więzień domagający się rozmowy z komendantem? W takich warunkach i tak śmiałym głosem? Nawet kapo osłupieli i nie poruszyli się, żeby go uciszyć. Zaciekawiony komendant spytał niemal uprzejmie:

– O czym chciałbyś ze mną rozmawiać?

Więzień wskazał palcem na człowieka stojącego pomiędzy skazanymi na śmierć, który płakał jak dziecko. Wtedy rzekł silnym i równym głosem, stale z uśmiechem na twarzy:

– Chciałbym, żeby mi pan pozwolił zamienić miejsce z tym człowiekiem.

– Czy to jest twój syn? - spytał komendant.

– Nie, nigdy go przedtem nie widziałem, ale on jest młody, a mnie i tak już dużo nie pozostało z życia.

Komendant zmarszczył brwi, potem kiwnął głową na zgodę i oddalił się. Więzień podszedł do młodego człowieka, dotknął jego ramienia i lekko pchnął, by powrócił do szeregu. Potem, nadal uśmiechnięty, ustawił się wśród skazańców”.



Ojciec Kolbe trafił do celi numer 103 na oddziale piątym. W piwnicach bloku nr 11 znajdują się cele śmierci. Wpycha się do nich nagich skazańców. Od tej pory nie dostają już nic do jedzenia, nic do picia. Czekają na straszną śmierć. Poprzez mury słychać tylko jęki i wycia. Ale słychać także coś jeszcze – skazańcy śpiewają.

O. Maksymilian dobrowolnie ofiarował się umrzeć zamiast Franciszka. Przez dwa tygodnie był głodzony w bunkrze, a 14 sierpnia został dobity zastrzykiem z fenolu. Przed śmiercią swoją wielką wiarą i modlitwą podnosił na duchu, pomagał przetrwać nienawiść i rozpacz dziewięciu swoim towarzyszom z bunkra głodowego. Zginął, aby inni żyli. Aby ojciec rodziny powrócił do bliskich.

Ukazując jego życie jako przykład dla wiernych, zwłaszcza dla kapłanów, dnia 17 października 1971 roku papież Paweł VI dokonał osobiście uroczystej beatyfikacji Męczennika w obecności dziesiątków tysięcy wiernych z całego świata i ponad 3000 pielgrzymów polskich. Dnia 10 października 1982 roku Ojciec Święty Jan Paweł II dokonał jego kanonizacji.

Kult św. Maksymiliana rozszedł się lotem błyskawicy po Polsce. Diecezja koszalińsko-kołobrzeska ogłosiła go swoim patronem. W Zduńskiej Woli, dzięki inicjatywie miejscowego proboszcza, powstał Ośrodek Pamięci św. Maksymiliana. Zachował się tu szczęśliwie dom rodzinny Świętego przy ulicy Jego imienia. Św. Maksymilian Maria Kolbe pozostanie w dziejach Kościoła w Polsce jako jedna z najpiękniejszych postaci. Człowiek, który zaufał Niepokalanej, nie zawiódł się, bo zawieść się nie mógł. Do roku 1982 ku czci Świętego wystawiono w Polsce 61 kościołów i kaplic, a za granicą - 35.

"Choć wiatr rozmiótł prochy spalonego w krematorium ciała świętego Maksymiliana, jego oczy patrzą z wysokości strzelistych kolumn Bazyliki św. Marii, a jego miłość heroiczna, realizująca się w męczeńskiej ofierze, patronuje całej ziemi jako wskaźnik i program na teraz i na najbliższe wieki. Na wieki wszystkie."

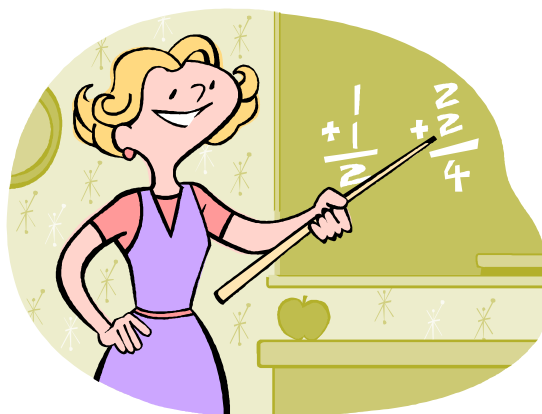
/Maria Kączkowska „Ojciec Kolbe”, s. 190/

Karolina Kumka

ULUBIONE SŁÓWKA

CZYLI

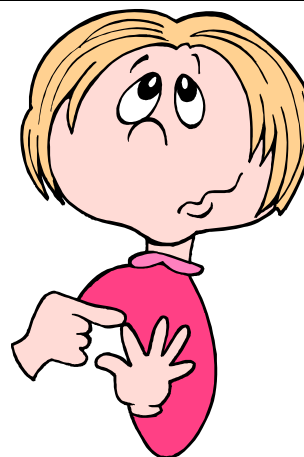
KRÓTKIE VADEMECUM NAUCZYCIELA



D - DZIENNIK LEKCYJNY - forma pisarstwa z pogranicza since fiction

E - EWALUACJA - najczęściej powtarzane słowo na wszelkiego rodzaju szkoleniach. Niektórzy myślą je z owulacją, a inni z ewolucją.

F - FREKWENCJA - wynik sumowania, mnożenia i dzielenia tych, co byli, przez tych, co wyszli i już nie wrócili



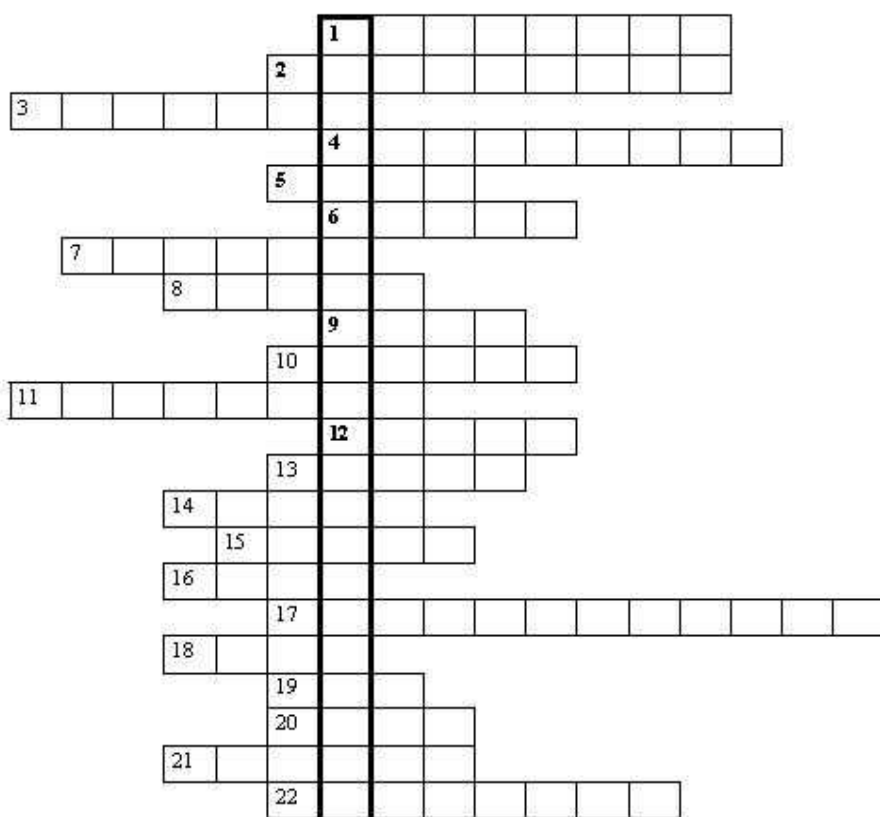
	<p>G - GRAFIK - ściśle zaplanowany system pilnowania korytarzy w czasie przerw</p> <p>H - HARMONOGRAM - opis kto, kiedy, z kim, gdzie i co ma robić</p> <p>I - INSPEKTOR - kiedyś postrach szkół a dziś prawdziwych ... inspektorów już nie ma</p>
<p>J - JEDYNKA - ulubiona ocena wielu belfrów, zwłaszcza tych, którzy udzielają korepetycji</p> <p>K - KLASA - zbiór osobników płci obojga, których staramy się kochać, mimo że stale rzucają nam kłody (lub inne przedmioty) pod nogi</p> <p>L - LEKCJA – czas, gdy usiłujemy osiągnąć ściśle określony cel, podpierając się wymyślonym wcześniej niezwykle pięknym i mądrym zoperacjonalizowanym planem dydaktycznym</p>	

źródło: INTERNET c.d. nastąpi

~KRZYŻÓWKA~

1. Substancja uzależniająca w papierosach.
2. Wydajesz je, kupując papierosy.
3. Niszczysz je, paląc.
4. Nazywają je "gwoździami do trumny".
5. W zdrowym ciele zdrowy...
6. Jedna z przyczyn sięgania po papierosy przez młodzież.
7. Ktoś, kto pali to...
8. Jeden z organów niszczonych przez nikotynę.
9. Żółkną, gdy palisz.
10. Tytoń w proszku.

11. Odmawiając, mówię: "Nie,...!"
12. Palenie tytoniu skraca...
13. Roślina używana do produkcji papierosów.
14. Palenie tytoniu powoduje choroby...
15. Niedopałek może zaprószyć...
16. Państwo słynące z wyrobu cygar.
17. Coś, co nie pozwala zerwać z nałogiem.
18. Może być narkotykowy lub nikotynowy.
19. Z komina lub z papierosa.
20. Zmysł upośledzony u palaczy.
21. U palaczy nieświeży.
22. Najbardziej szkodliwe substancje w papierosie.



Małgorzata Pajda

Stopka redakcyjna: Opieka- p. Renata Kmiec, zespół redakcyjny: Justyna Koniuszy, Agnieszka Krawczak, Karolina Kumka, Małgorzata Pajda, Kinga Zalot
Bez nazwy gazetka szkolna uczniów III Liceum Ogólnokształcącego w Zespole Szkół Ogólnokształcących im. Książąt Czartoryskich w Jarosławiu, ul. Kraszewskiego 39, 37-500 Jarosław, tel. 0166215419
 Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji tekstów oraz niedrukowania artykułów anonimowych lub wulgarnych. Nie bierzemy odpowiedzialności za treści zawarte w reklamach i ogłoszeniach.